Numer 7. Styczeń 1907. Rok II.

MŁODZIEŻ

CZASOPISMO POLSKIEJ MŁODZIEŻY IDEOWEJ.

Upaść może naród wielki,
Zginąć tylko nikczemny! *Staszic.*

Cena 6 hal.

Nim potępisz —
Przeczytaj do końca!

Prenumerata roczna: na miejscu 72 h., z przesyłką 1 K, z poprzednimi numerami 1 K. 20 h.

Adres Redakcyi: Kraków, ul. Retoryka 9, II. p,

Polce.

Br. „W.“ Chorążance.

O nie mówcie, że to bajka,
Pusty wymysł średniowiecza,
Kiedy rycerz szedł do boju
Zbrojny w Miłość — oprócz miecza!

Był on wielki w swojem dziele,
Rozgorzały i niezłomny,
Czerpał moc tę — z pod pancerza...
Na swą Miłość — zawsze pomny!

* * *

Dziś — święcimy narodziny
Polskich duchów — dotąd śpiących —
Ojców naszych, synów, braci,
O wolności — tylko śniących!...

Dziś niewiasty polskiej dziełem,
By zapalić pierś mężczyzny
Ogniem — który ona zmieni
W świętą miłość — dla Ojczyzny!

A tak pracy tej owocem
Będą czyny! — nie marzenia...
Z rąk opadną wrogie pęta,
Błyśnie słońce — Wyzwolenia!

„Kazimiera“.

...cechą zdrowych narodów, jest swoboda w myśleniu a karność w działaniu! *St. Szczepanowski.*

Za naszą wolność i waszą!

Znowu nadeszła rocznica, ale rocznica nie z tych wesołych, które pogodą i weselem serca nasze napełniają, jeno z tych, których daleko więcej, a na których wspomnienie czoło wprawdzie dumą promienieje, ale zato serce boli i ściska się, a nie rzadko i łza w oku zabłyśnie. Uczcijmy ją godnie nie hałaśliwym obchodem, ale w sercu poważną, głęboką myślą, zastanówmy się nad przeszłością, wyciągnijmy z niej wskazówki dla naszego postępowania, uczmy się na niej życia, aby kiedyś, gdy przyjdzie na szerokiej arenie społecznego życia zająć odpowiednie miejsce, nie powiedziano: Patrzcie oto ludzie, których przeszłość nic nie nauczyła.

Przenieśmy się myślą w lata sześćdziesiąte, w te wielkie dni narodu, w których wszyscy żyli podwójnie wzmożonem życiem. Nad nami zawisły jakieś straszne czarne chmury, z których nie wiadomo czy grom, czy pomyślność spaść miała. Pieśń wielka już umilkła — najwięksi legli w grobach — ostatnie światła zagasły — w całej polskiej ziemicy zapanowała głucha cisza, przerywana tylko brzękiem granicznych bagnetów, nocnymi rewizyami i jękami boleści wydobywającymi się z piersi srodze uciśnionych. Zdało się, że życie zamiera a jednak ono potęgowało się wtedy — każdy żył gorączkowo trawiony straszną niepewnością, myślał i czuł za dwu, spodziewał się czegoś, czegoś nieokreślonego, co miało przyjść z wielką mocą, by skruszyć żelazne pęta, by uwolnić pierś narodu od wysysającej krew zmory niewoli. Jasnem było, że kraj stał w przededniu wielkich dni, że geniusz dziejów znowu zstąpił na ukochaną ziemię niosąc coś potężnego, coś tajemniczego. Nikt nie wiedział co się jutro stanie, ale każdy czuł, że zajdzie coś ważnego, ciężarnego w skutki, coś nieziemskiego w swej potędze, każdy wytężał słuch i wzrok, by pierwszemu ujrzeć spodziewany, oczekiwany i gorąco pożądany cud.

*
* *

Wreszcie stało się, co się stać musiało. Pierwsze kule padły — padły w sercu Polski na ulicach Warszawy, a ich ofiary dziwnem losu zrządzeniem były przedstawicielami

wszystkich stanów, były niejako wskazówką, że w walce, która wkrótce miała wybuchnąć, wszystkie stany powinny wziąć udział.

* * *

W dwa lata później, w tej samej Warszawie, w wspaniale urządzonym gabinecie dumał samotny mąż; twarz jego wyrażała głęboką myśl i ogromny ból, a chociaż piękną i szlachetną była, niekiedy jednak oświecał ją jakiś złowieszczy blask pychy. Los dał mu w ręce ster nawy wielkiego narodu — los mu go dał, powinien był dalej go prowadzić, czuł, że sił ma dość, że zadaniu swemu sprostać może. — Wielkie snuł plany, daleką obejmujące przyszłość. — W marzeniach swych widział kraj wolnym — zły duch jego myśli szeptał mu wtedy: To twoje tylko dzieło, skutek potęgi twego umysłu, wynik twych planów.

A plany miał głębokie, daleko sięgające; wzrokiem ogarniał ogromny widnokrąg, ale czuł zarazem, że tę cudną przyszłość sam tworzy geniuszu swego mocą; rozumiał, że te doniosłe plany, jego wyłącznie własność, sam tylko może wykonać, sądził, że nie ma nikogo, z kimby się mógł podzielić ukochaną myślą. Ale oto pierwsza przeszkoda stanęła mu na drodze, — on pracę odrodzenia na długie rozłożył czasy, a garstka ludzi równie jak on kochających ojczysty kraj, ale nierównie goręcej czujących, chciała, by odrodzenie narodu było dziełem jednej chwili, by jedna iskra spaliła kajdany i roznieciła płomień wolności. Była to pierwsza przeszkoda, którą napotkał, którą musiał zwalczyć, — przeszkoda bolesna, bo ludzie ci byli mu bliscy, których ten sam ideał ożywiał. Wróg podsunął mu plan: Pozbądź się ich z kraju, na daleką wygnaj północ, zrób z nich obrońców cara. Margrabia namyślał się, walczył, wahał, gdy znowu czarny jego duch podszepnął mu: Kraju nie zakrwawisz, a pokonasz przeszkodę — podpisz! — Podpisał. I czuł się w tej chwili tak potężnym, jak nigdy i wydało mu się, że teraz już prosta do celu droga.

Jakże strasznie się łudził — szatan, który go w tę pychę wzbił, w tej samej chwili otworzył między nim a narodem niezgłębioną przepaść, która miała pochłonąć wszystkie jego nadzieje.

* * *

Walka rozgorzała — kraj cały zakołysał się z oburzenia — do boju stanęli wszyscy: wielcy i mali, starcy

i dzieci, męże i niewiasty. Można było sądzić, że Jehowa wlał w serca wszystkich dziwne jakieś męstwo — z wiarą, z ufnością w sercu, ze świętem na ustach hasłem szli w straszny bój, w bój, w którym jedno było pewnem — śmierć! Szli wszyscy — bez przestanku — szli ciągle — ginęli — na ich miejsce stawali nowi — i ci ginęli, w przedświadczeniu, że po ich trupach łatwiej dosięgną pozostali wolności grodu — a nad nimi dalekiem grzmiało echem: Za naszą wolność i waszą!

Godzina jednak szczytnej idei jeszcze nie wybiła — geniusz zwycięstwa zasłonił oczy, by nie patrzeć na bohaterski a próżny bój. — Chwila była straszną tragizmem bezgranicznej ufności.

*
* *

Płomienie walki dogasały. —

Na stokach warszawskiej cytadeli, na tle sierpniowego słońca miał się odegrać ostatni jej akt. Chwila była uroczysta — pięciu ludzi miało ponieść śmierć za to, że odważyli się zaprotestować przeciw gwałceniu najświętszych praw człowieka. Czekała ich śmierć — nie śmierć na polu bitwy, w otwartym boju, od kuli, czy bagnetu — lecz śmierć z ręki kata... drzewa szubienic zaskrzypiały przeciągle, przeraźliwie, strasznie. — Ostatnia scena prologu walki o wolność skończyła się.

Zgonem swoim zamienili haniebną dotychczas śmierć na męczeństwo, które każdego, kto walczyć będzie za wolność i sprawiedliwość, oczekuje.

Śmierć ich, wlała w żyły narodu ten ogień, który go trawić będzie, a zarazem dziwnie nowe wlewać siły aż zerwie z siebie stalowe niewoli kajdany i poczuje się wolnym, a wtedy zrozumie i uczci, równie święte jak pierwszych chrześcijan, męczeństwo! *H. W.*

Cmentarz tułaczy.

(Nowela.)

P. Maryanowi Rudnickiemu.

Jest w Westerland nad brzegiem morza cichy, opuszczony cmentarz. Stoją wzdłuż usypanej żwirem drogi mogiły

jedna obok drugiej, bez krzyża, ni napisu, jak gdyby ci, co legli pod tą zieloną darnią, nie zostawili po sobie nikogo, ktoby pamiętając o zmarłych, bodaj datę śmierci umieścił na tej mogile. Nie cienią tych grobów drzewa, które na naszych cmentarzach szepczą liścmi pacierz po zmarłych — nie było kochającej ręki, któraby je tu sadziła, tej ręki, która na bratnie trumny rzuca garść mogilnej ziemi. Gdzieś daleko szumi morze, a szept wodnej głębiny unosi się dniem i nocą nad tym cmentarzem, groźny, monotonny, jednakowy. Jest coś ogromnie, bezlitośnie smutnego w widoku tych nagich, niemych, zapadłych mogił, nad któremi wiecznie unoszą się jęki fal. Jedyny to płacz co rozlega się na tym cmentarzu, nikt tu nie przychodzi wiedziony tęsknotą lub bolem, niczyja łza nie pada na tę ziemię grobów. Krople wody osiadłe na nadbrzeżnych, pozostałe po rozbitej o granit fali, to jedyne łzy na tej cmentarni. Wlecze się nad czarną ziemią jakaś bezlitosna tęsknica zapadłych i zapomnianych mogił. Nikt nie zna nazwisk tych, którzy tu na brzegu szafirowego morza spoczęli na zawsze.

To — »cmentarz tułaczy«.

Rybacka ludność grzebie na tym kawałku ziemi ofiary morskich głębin. Zdarza się często, że po gwałtownej wichurze i burzy morze wyrzuca na brzeg ciała ludzi, których tu nikt nie zna, których w tych okolicach nikt nie widział. Ludność jednak nie dba o to — zwyczaj po praojcach każe im grzebać tych nieznanych tułaczy na wspólnym cmentarzu.

— »Ano — takto proszę pana — opowiadał mi raz »grosser Hans« stary wilk morski — dziś jemu, jutro mnie. Ja, ja... A jakżeby to nie w ziemi po śmierci; dosyć natłucze się człowiek po morzu za życia. Dokąd rybak zdrów, to jemu żyć tylko na morzu, ale po śmierci należy się człowiekowi ziemia. Ja, ja... Morze żywi te wszystkie osady, schauen sie — pokazał ręką na siniejące w dali wybrzeże Westerlandu — to wszystko żyje z niego — ale po śmierci ziemia się upomina o swoje. Po śmierci należy się rybakowi na brzegu.«

Morze łączy tu wszystkich — kto tylko niem żyje, a tembardziej kto na niem zginął ten »swój«. Wspólność walki z dobroczynnym, ale zarazem strasznym żywiołem, jednoczy tych ludzi niezwykle solidarnie; widziałem na przykład zaciętych wrogów, którzy podczas burzy morskiej ratowali jeden drugiego, mimo tego że na lądzie każde ich

spotkanie kończyło się bójką. Więc taki trup wyrzucany przez morze, to jeden ze swoich — cała osada zbiega się na pogrzeb, jakby żegnała kogoś ze swej rodziny. Widziałem pogrzeb jednego z takich tułaczy. W sosnowej białej trumnie niosło go czterech ogorzałych rybaków, śpiewając psalmy, a za nimi postępowała cała osada poważnie, w skupieniu. Szli ku cmentarzowi drogą nad brzegiem morza, które nie uspokojone jeszcze po burzy, pluło pianą żółtej fali na mokry piasek wybrzeża. W orszaku postępowały przeważnie kobiety i dzieci, mężczyzni pozostali w osadzie przygotowując się na jutrzejszy wielki połów. Pieśń więc podtrzymywana wyłącznie prawie kobiecymi głosami, mieszała się z szumem fal, rwała się co chwila, bo wiejący od północy wicher, tamował głos w piersi. Nierozpierzchłe jeszcze obłoki po rannej nawałnicy, siekły drobnemi kropelkami deszczu i owiły całe wybrzeże w jakąś przejrzystosiną mgłę. Brnąłem w rozmiękłym piasku, potykając się co chwila na szarych głazach, ale nie chciałem wracać do osady. Było w tym widoku niesionej na barkach białej trumny, w przerywanym wichurą i rykiem fal śpiewie, w tej głębi sinego morza, w szarości chmur i mgle ciekącego deszczu, coś tak ogromnie wielkiego, że mimowolnie, prawie bezwiednie postępowałem z tym orszakiem.

Czuliśmy się wszyscy niezwykle drobni i mali wobec tego olbrzymiego wzburzonego żywiołu, skłębionych chmur, wobec powagi śmierci. Przygniatał nas jakiś ciężki smutek, choć nie znaliśmy tego człowieka, który spoczywał w tej białej, nieheblowanej trumnie. A może właśnie była to powaga czegoś potężnego, jak rozhukany żywioł, jak śmierć — a zarazem czegoś nieznanego, jak ten tułacz, którego obcy ludzie odprowadzali na cmentarz. Czułem się tak przygnębionym, tak oszołomionym tym dziwnym a zarazem strasznym obrazem, że nie spostrzegłem nawet kiedy minęliśmy osadę i weszliśmy pomiędzy groby. W uszach brzmiała mi ciągle poważna, przeciągła melodya śpiewanej pieśni i rytmiczny, nieustanny, jękliwy plusk fali. Ocknąłem się dopiero na głuchy odgłos rzucanej na trumnę grudy; bez płaczu i jęku spuszczono ją do wykopanego grobu i zaczęto przykrywać biale deski żółtą, zwilgłą gliną. Obce twarze pochyliły się nad grobem, obce ręce sypały grudę; pomiędzy tym, który spoczął w tej trumnie a tymi co ostatniemi łzami pożegnania wilżą cmętarną nadgrobną ziemię, stanęło bezlitosne, rozhukane morze. Ono jedno będzie mu

też nad grobem wiecznie łkać falą i ronić łzy i szeptać pacierz z wichrem idącym nocą od cmentarza ku oceanowym głębiom; jemu jednemu skarżyć się będzie ten samotny, przez obcych pogrzebany na swe opuszczenie. Bo kiedy noc nadciągnie, morze okryje się ciemnym granatem, a gdzieś z oddali idący szept niewidzialnych fal unosi się nad cmentarzem, jakby morze pytało mogił o imiona opuszczonych. A poruszane wiatrem gałązki samotnej krzewiny szepczą cicho... cichutko odpowiedź cmentarza: »To my — tułacze...«

Taką rozmowę prowadzą nocą opuszczone mogiły z nadbrzeżnemi falami — ale w dzień stoją te groby bez napisów, ponure, milczące, nikomu nieznane — ani tym małym rybackim domkom, ani temu skalnemu wybrzeżu, ani tym ogorzałym, steranym w walce z żywiołem rybakom.

Szczęsny F-l.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak było, jak jest, a jak będzie?

Gdy wejrzymy w niedaleką przeszłość naszą, obaczymy, że była ona czczą, pozbawioną wszelkich górnych ideałów, wielkich haseł, pozbawiona tych wielkich czynów ducha, czynów, z których moglibyśmy być dumni.

Wprawdzie na ustach naszych ciągle spoczywał wyraz: Polska. Wyraz ten obejmuje wszystko to, cośmy ukochali miłością gorętszą od wszelkiej miłości, to co jest dla każdego z nas celem, do którego zdążamy bezustannie!

Lecz usta nasze niegodne były wymawiać tego wyrazu. Bo czyż my oddani swoim nałogom, możemy myśleć i pracować dla Polski? Pracujemy; lecz praca nasza jest nieproduktywną, każąca pracę ludzi tych, którzy wolni są od wszelkich wad i nałogów!

— — — — — — — — — — — — — — —

Czyż nie jeden z przywódców naszych nużał się w rozpuście?

A myśmy byli ślepi na to!

Hasła czystości cielesnej i duchowej były nam obce. Hasła te do niedawna możebyśmy wyśmieli, wyszydzili...

Lecz dziś?! Gdy hasła wstrzemięźliwości rozlegają się na okół, czyż można zostać na nie nieczułym? Czyż można nie przystąpić do gorącej walki, którą staczamy z cztere-

ma najgorszymi nałogami: rozpustą, pijaństwem, karciarstwem i paleniem tytoniu?!

Czyż my oddani któremukolwiek z nałogów, możemy mieć tak czyste myśli, by je można wznieść do ideału Polski?!

— — — — — — — — — — — — — — —

Wyobraźmy sobie, a łatwo to sobie wyobrazić, co było faktem, że przewodnik młodzieży, przemawiający do niej, dzień przedtem był w domu nierządu, a nazajutrz rzucał święte hasła narodowe...

Czyż nie jest to zhańbieniem wzniosłych uczuć miłości ojczyzny, zhańbieniem haseł najświętszych? Czyż nie jest to hańbą dla nas, że takiego człowieka słuchamy i mu ulegamy?...

Gromadźmy się więc żwawo pod biały sztandar czystości, zróbmy ofiarę naszej umiłowanej Ojczyźnie z naszych nałogów, a wówczas staniemy się Narodem prawdziwie Polskim, Narodem, który innym będzie przewodniczył. Stoczmy bój z samymi sobą, zetrzyjmy nasze nałogi, a będzie to pierwsze wielkie zwycięztwo naszego Narodu, w którego losach wielka myśl Boża spoczywa.

Grupujmy się zatem w nierozerwalne braterskie związki, braterska miłość niech złączy nas, a wówczas rzucimy nasze potężne hasło, które cały świat usłyszy:

»Przez Czystość do Ojczyzny, a przez Nią do ludzkości!!« *B. B. ze Lwowa.*

Od Redakcyi.

Uwiadamiamy, że następny numer wyjdzie 15 lutego b. r. Prosimy przeto Kolegów i Koleżanki o wcześniejsze nadesłanie artykułów.

„Przyjacielowi“. Wiersz dla braku miejsca, nie ogłoszono.

„Krakowianinowi“. Notatkę w sprawie chóru nie umieszczono, a o powody prosimy zgłosić się do Redakcyi.



Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: *Szczęsny Turowski.*
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie.